

Czy w Polsce znów będzie broń atomowa?

21 listopada 2016

Rządy PO-PSL rozpoczęły budowę podwalin „arsenału odstraszania”, ostatnie decyzje rządu PiS wskazują, że zamierzamy pójść znacznie dalej. Czy szef MON Antoni Macierewicz poprosi USA o dyslokowanie do Polski głowic jądrowych?

U progu lat 1960. rywalizacja USA – ZSRR osiągnęła apogeum. W październiku 1962 roku świat stanął na krawędzi wojny nuklearnej w związku z tzw. „kryzysem kubańskim”. Tylko osobista powściągliwość tak przywódcy ZSRR Nikity Chruszczowa jak i młodego prezydenta USA J.F. Kennedy’ego, powstrzymały wojownicze zapędy „jastrzębi” po obu stronach „żelaznej kurtyny”. To właśnie wówczas, będąc sojusznikiem ZSRR w ramach Układu Warszawskiego, PRL kupuje wyrzutnie rakiet operacyjno-taktycznych oraz naddźwiękowe samoloty myśliwsko-bombowe SU-7BM. Dysponując uzbrojeniem, zdolnym do przenoszenia broni nuklearnej podjęto decyzję o jej pozyskaniu. Trwał wyścig zbrojeń – rozmowy z rządem ZSRR skończyły się więc sukcesem. Pierwotnie głowice i bomby atomowe miały trafiać do Polski z ZSRR drogą lotniczą, tuż przez wojnę z NATO. Jednak ćwiczenia wykazały, że pomysł to chybiony. W latach 1967-1970 powstają więc magazyny broni nuklearnej. Od tego momentu Polska na swym terytorium, mimo publicznych deklaracji władz PRL o strefie bezatomowej, ma kilkaset bomb i głowic najstraszniejszej broni. Pod tym względem PRL nie różniła się np. od Izraela, który również nie przyznawał się do posiadania bomby „A”. Składy bomb i głowic, o których poinformował USA ich szpieg, oficer polskiego Sztabu Generalnego Ryszard Kukliński, były priorytetowym celem rakiet z głowicami atomowymi wycelowanymi wówczas przez Stany Zjednoczone w nasz kraj. M. in. dzięki Kuklińskiemu w wypadku wojny Polska zamieniłaby się w „strefę śmierci” i atomową pustynię. Historia lubi się powtarzać. Dziś

u progu XXI stulecia, rywalizacja USA-Rosja znów nabiera niebezpiecznego tempa. Choć obie strony zapewniają, że nie chcą nowego wyścigu zbrojeń, jak na razie napięcie rośnie. Jest tylko jedna, acz zasadnicza różnica w ocenie pozycji Polski. Wówczas byliśmy w sojuszu z ZSRR przeciwko NATO i USA, a dziś jesteśmy członkiem NATO i w sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Podobnie jak w okresie „kryzysu kubańskiego”, po cichu, bez zbędnego rozgłosu, na wyposażenie Wojska Polskiego weszły rakiety, tak bazowania lądowego jak i lotniczego o zasięgu liczonym w setki kilometrów. A więc broni ze wszech miar ofensywnej. Broni, opcjonalnie mogącej przenosić głowice nuklearne.

BRONŃ „A” NA WYPOSAŻENIU WOJSKA POLSKIEGO

W doktrynie Układu Warszawskiego przewidywano użycie tzw. taktycznej broni jądrowej. Miała to być seria ataków rakietowo-lotniczych na kolejne linie obrony i zgrupowania wojsk przeciwnika (NATO) w wybranym pasie natarcia. Tak silna, by w ciągu kilkunastu minut pozwoliła „wyrąbać” korytarz, w który niezwłocznie mogłyby wejść własne wojska pancerne i zmechanizowane, śmigłowce i saperzy. W założeniach czołgi i wozy bojowe miałyby być dobrze chronione przed silnym skażeniem terenu, a także zdolne do poruszania się na takim obszarze. Głównym celem wojsk lądowych było z kolei zajęcie lotnisk przeciwnika, jego systemów dowodzenia, składów i magazynów. Dla Wojska Polskiego dowództwo Układu Warszawskiego przewidziało odrębne zadanie. Polskie wojska miały działać na pomocniczym kierunku północno-zachodnim, prowadzącym przez rejon Lubeki wprost na wyspy duńskie. Dwie polskie armie miały wejść w szeroki korytarz utworzony przy pomocy broni atomowej. Decyzja o wyposażeniu polskiej armii w samoloty Su-7 i pociski rakietowe R-170 zapadła właśnie na początku lat 1960. Według założeń, główną siłą uderzeniową miały być rakiety, samoloty miały zaś niszczyć przede wszystkim wyrzutnie rakiet przeciwnika oraz inne obiekty i zgrupowania mobilne. Stworzono więc elitarną jednostkę lotniczą wyposażoną w 36 samolotów

Su-7, z najlepszym personelem lotniczym i technicznym. Sztab Generalny wybrał do tego celu 5. Pułk Lotnictwa Myśliwsko-Szturmowego, stacjonujący w Bydgoszczy.

W 1967 roku bydgoski pułk został przemianowany na 3. Pomorski Pułk Lotnictwa Myśliwsko-Bombowego. Już w 1968 roku w czasie wspólnych ćwiczeń z 11 Dywizją Pancerną, po raz pierwszy zrzucono bombę IAB-500, dającą imitację wybuchu jądrowego. To właśnie ta dywizja miała wejść w atomowy korytarz „wyrąbany” przez rakiety i samoloty Su-7. Główne zadanie spadło jednak na tworzone od zera Wojska Rakietowe. Głowice jądrowe miały wystrzeliwać 4 brygady. Były to: 18 Armijna Brygada Rakiet Operacyjno-Taktycznych 2 Armii Ogólnowojskowej formowanej na wypadek wojny na bazie Śląskiego Okręgu Wojskowego, 3 Frontowa Brygada Rakiet Operacyjno-Taktycznych w czasie pokoju podporządkowana dowódcy Śląskiego Okręgu Wojskowego, a na wypadek wojny z NATO, dowódcy Frontu Polskiego wystawianego przez wojska operacyjne, w Choszczynie bazowała 2 Armijna Brygada Rakiet Operacyjno-Taktycznych, która stanowiła główny środek uderzeniowy 1 Armii Ogólnowojskowej formowanej na wypadek wojny z NATO na bazie Pomorskiego Okręgu Wojskowego, wreszcie na Mazurach ułokowana była 32 (szkolna) Brygada Rakiet Operacyjno-Taktycznych im. gen. broni Bolesława Czarniawskiego. Wszystkie one miały niszczyć wroga uderzeniami rakietowo-jądrowymi i chemicznymi, rakietami operacyjno-taktycznymi o zasięgu 300 km. Głowice jądrowe miały pochodzić ze składów Armii Radzieckiej znajdujących się na terenie Polski, bo takowe, choć mało kto o tym wie, u nas były. Wojsko Polskie posiadało głowice konwencjonalne o masie 997 kg. Jak wspominają żołnierze, po wybuchu zostawał lej o głębokości 2-4 metrów i szerokości 12 m. O precyzji trafień trudno więc było mówić. Odchylenie punktu trafienia na odległości, sięgało 600 m, a na szerokości do 350 m. Właściwą była więc głowica jądrowa, plutonowa z ładunkiem RA-17 o mocy 300 Kt. Głowice jądrowe zostały wyposażone w wewnętrzny układ ogrzewania. Mogły powodować naziemny, powietrzny lub niski powietrzny wybuch jądrowy.

Skoro mieliśmy rakiety, samoloty do przenoszenia bomb atomowych, ćwicziliśmy na poligonach rakietowych w Kazachstanie (dawny ZSRR), to i mieliśmy w Polsce, objęte klauzulą najwyższej tajemnicy wojskowej, magazyny broni nuklearnej. W szczególności były to trzy obiekty. Pierwszy zlokalizowany w okolicach mojego rodzinnego Białogardu, drugi koło Jastrowia, trzeci zaś w okolicy Trzemeszna Lubuskiego. Budowę składów rozpoczęto pod koniec lat sześćdziesiątych. Następnie magazyny zostały przekazane Północnej Grupie Wojsk Radzieckich, której żołnierze mieli sprawować opiekę nad ładunkami do momentu przekazania ich Wojsku Polskiemu, co miało nastąpić po wybuchu konfliktu zbrojnego NATO-Układ Warszawski. Każdy ze składów zajmował blisko 300 hektarów i miał obsługę składającą się z 120 żołnierzy i 30 oficerów. Każdy z obiektów mógł pomieścić 192-288 ładunków jądrowych. Według ujawnionych danych, w połowie lat 1980. zmagazynowano w nich 14 głowic jądrowych o mocy 500 kT, 83 głowice rakietowe o mocy 10 kT, dwie lotnicze bomby jądrowe o mocy 200 kT, 24 bomby o mocy eksplozji 15 kT i 10 lotniczych bomb o mocy 0,5 kT. Oprócz tego Północna Grupa Wojsk Armii Radzieckiej dysponowała swoimi magazynami broni jądrowej. Największy wybudowano na Dolnym Śląsku przy lotnisku Szprotawa, na którym stacjonowała 149 Dywizja Lotnictwa Bombowego. Był to obiekt typu „Monolit”, znajdowało się w nim około 40 bomb jądrowych 244N, a później innych typów, a także głowice dla lotniczych pocisków rakietowych. Broń jądrową wycofano z Polski w latach 1989-1991, a wszystkie cztery magazyny broni atomowej w pełni sprawne przekazano stronie polskiej. Oprócz jednego wszystkie porzuciliśmy na pastwę szabrowników i złodziei złomu. Dziś te ruiny można zwiedzać.

POLSKO-ROSYJSKI WYŚCIG RAKIETOWY

W grudniu 2008 roku, polski rząd podpisał umowę z norweskim koncernem Kongsberg Defence & Aerospace na dostawę rakiet NSM, które są pociskami tzw. czwartej generacji, i które dzięki zmniejszonemu przekrojowi radarowemu, posiadają wysokie

właściwości stealth (trudno wykrywalne dla radarów). Jest to zasadniczo poddźwiękowy przeciw-okrętowy pocisk manewrujący typu sea-skimming. Jednak, czego nie ukrywali nasi politycy i wojskowi, istotnym dla ich zakupu był fakt, że może on być także wykorzystywany do zwalczania celów lądowych. Pocisk wyposażony jest w głowicę kruszącą o masie 125 kg i ma zasięg do 200 km. W czerwcu 2013 roku rakiety te weszły w skład nowo utworzonego Nadbrzeżnego Dywizjonu Rakietowego, który docelowo będzie dysponował 48 rakietami. W styczniu 2015 roku inną jednostkę – w okolicach Gdyni – przeformowano w „Morską Jednostkę Rakietową” i zamówiono u Norwegów drugi dywizjon z 24 rakietami. Polskie wyrzutnie rozmieszczone na Helu, rakietami NSM z łatwością dosięgną głównej bazy okrętów rosyjskiej Floty Bałtyckiej w Bałtyjsku. Mogą też niszczyć wojskową infrastrukturę – magazyny broni, amunicji, punkty dowodzenia czy lotniska. Rakiety Dywizjonu Nadbrzeżnego, jak to określił ówczesny szef MON, Tomasz Siemoniak, miały być „elementem odstraszania”.

Na reakcję nie trzeba było długo czekać, Rosjanie rozmieścili w Okręgu Kaliningradzkim bardzo nowoczesne samobieżne przeciwlotnicze systemy artyleryjsko-rakietowe typu „Pancyr-S1”. Każdy pojazd wyposażony w radar, 4 działka 30 mm i 12 rakiet o zasięgu 20 km. Systemy „Pancyr –S1” jest wysoce efektywną bronią wyspecjalizowaną do zwalczania celów powietrznych w tym poddźwiękowych rakiet manewrujących, jakimi są polskie rakiety NSM. W grudniu 2014, po uzyskaniu zgody Senatu USA, Polska zakupiła taktyczne pociski manewrujące AGM-158A JASSM (Joint Air-to-Surface Standoff Missile). Są to rakiety odpalane z samolotów F-16. I zgodnie z umową podpisaną 11 grudnia 2014 roku za 250 milionów dolarów pozyskano 40 sztuk tych nowoczesnych pocisków klasy powietrze-ziemia. Rakiety manewrujące AGM-158A JASSM mają zasięg ok. 370 km i mogą precyzyjnie uderzyć w cel głowicą bojową o wadze 454 kg. Są to bardzo zaawansowane technologicznie rakiety skonstruowane jako trudno wykrywalne dla radarów. Z dumą ogłosiliśmy, że nasze „długie kły”, uzupełniają polski

„arsenał odstraszenia”. Tym samym F-16 Polskich Sił Powietrznych, startując z Krzesin pod Poznaniem czy z bazy w Łasku (okolice Łodzi) manewrując nad rodzimym terytorium miałyby w zasięgu rażenia każdy cel na terenie Okręgu Kaliningradzkiego.

Akcja, rodzi reakcję. W 2016 Rosjanie wyposażyli swoje jednostki przeciwlotnicze w Kaliningradzie w przeciwlotnicze systemy rakietowe dalekiego zasięgu S-400 „Triumf”. Wykrywa on cele powietrzne w odległości 600 km, razi je z odległości od 2 km do 400 km i na wysokości od 50 m do 30 km. Jeden kompleks śledzi do 200 celi powietrznych i na 10 z nich równolegle naprowadza rakiety. Dywizjon liczy do 8 modułów i jako całość może równolegle ostrzeliwać do 80 celów powietrznych, jakimi mogą być tak samoloty jak i rakiety manewrujące. System S-400 „Triumf” zdolny jest do zestrzeliwania pocisków balistycznych o zasięgu do 3500 km. W ten oto sposób Rosjanie „przykryli” 3/4 terytorium Polski i w przypadku wojny mają skuteczne narzędzia zwalczania polskich AGM-158A JASSM. Oczywiście w razie udanego startu naszych F-16, udanego odpalenia rakiet manewrujących, oprócz systemów przeciwlotniczych S-400 „Triumf”, „Buk”, oraz „Pancyr-S1”, do ich zwalczania przystąpią wyspecjalizowane do tego celu rosyjskie myśliwce dalekiego zasięgu MIG-31BM. Bazujące w okolicach Petersburga MIGI-31BM osiągają prędkość 3 000 km/h i wyposażone są w awangardowy radar „Zasłon-M” o zasięgu wykrycia celu typu myśliwiec 320 km i możliwości rażenia na odległość 280 km. Nowy rząd i nowy szef MON Antoni Macierewicz, podjęli jednak niedawno decyzję zakupu rakiet powietrze-ziemia o dużo większym zasięgu.

Jak doniosły w październiku specjalistyczne media, powołując się na informacje z Inspektoratu Uzbrojenia, nieoficjalnie potwierdzane przez stronę amerykańską, trwają negocjacje dotyczące pozyskania przez Polskę pocisków manewrujących JASSM-ER. W odróżnieniu od podstawowej wersji pocisków JASSM, którą kupiono w grudniu 2014, zasięg wariantu Extended Range

został zwiększony z 370 do ponad 900 km. Amerykanie w pierwszej kolejności zintegrowali pociski JASSM-ER z naddźwiękowymi bombowcami strategicznymi B-1B Lancer. W przyszłości wyposażą też w nie bombowce B-52H oraz myśliwce wielozadaniowe F-15 „Super Eagle” i być może F-16 Fighting Falcon. Dlatego, jeśli Polska zdecyduje się na pozyskanie pocisków JASSM-ER, to nasze F-16 Jastrząb mogą być pierwszymi maszynami tego typu zintegrowanymi z nową wersją pocisków, a z tym wiążą się horrendalne koszty. Jak jednak widać, „militarna potęga nadwiślańska”, z kosztami się nie liczy, grunt to „długie kły”.

MARZENIA POLSKICH „JASTRZĘBI” O BOMBACH ATOMOWYCH

W ocenie ekspertów lobbujących za wyścigiem zbrojeń, duże możliwości wzmocnienia polskiego potencjału obronnego i siły odstraszania zapewnić miałyby przystąpienie Polski do NATO-wskiego porozumienia o współdzieleniu taktycznej broni nuklearnej (Nuclear Sharing). Program ten zakłada udostępnienie przez USA takiego uzbrojenia państwom członkowskim, które go nie posiadają i funkcjonuje od lat 1950. Obecnie uczestnicy tego programu mają do dyspozycji bomby nuklearne o sile wybuchu od 0,3 kt do 170 kt. Do ich przenoszenia wykorzystywane są m.in. samoloty F-16. Broń ta rozmieszczona jest aktualnie w sześciu bazach NATO: Incirlik (Turcja), Aviano i Ghedi Torre (Włochy), Volkel (Holandia), Kleine Brogel (Belgia) i Büchel (Niemcy). Znajduje się ona – dokładnie tak samo, jak bomby atomowe i głowice, które w Polsce w czasach Układu Warszawskiego były pod kontrolą Rosjan – pod kontrolą USA. Bomb atomowych NATO pilnują amerykańscy żołnierze sił powietrznych w ramach systemu Weapons Storage and Security System (WS3) i przechowują je w specjalnie wzmocnionych schronach lotniczych. W przypadku wybuchu konfliktu zbrojnego z Rosją, ma ona być wydana sojusznikom, do których należą środki przenoszenia. Jak widać jest to taka sama procedura, jak z bronią atomową ZSRR składowaną kiedyś w Polsce.

Ewentualną możliwość włączenia się naszego kraju do tego programu, polscy „jastrzębie” łączą z planami Niemiec, które mają zamiar z niego wystąpić. Dlatego w ich ocenie pojawia się okazja do przejęcia zadań od Niemców przez polskie F-16. Faktycznie – wystarczą niewielkie modernizacje i nasze F-16 mogłyby stać się nosicielami dla bomb B-61 rozmieszczonych obecnie w niemieckim Büchel. Nietrudno sobie wyobrazić, że przy aktualnym stanie prowojennej histerii i obsesji zagrożenia ze strony Federacji Rosyjskiej, takie pomysły padają wśród PiS-owskich elit na podatny grunt. Skoro budujemy „potencjał militarnego odstraszania” kupując bardzo kosztowną broń dalekiego zasięgu, to kolejnym krokiem, podobnie jak w latach 1960., będzie wystąpienie do dysponenta o „najefektywniejsze doposażenie”. Wydaliśmy już setki milionów dolarów, a wydamy niebawem jeszcze więcej na rakiety „niewidzialne dla radarów”, o zasięgu blisko 1000 km. Wszak nie po to, aby zniszczyć pojedynczy hangar na rosyjskim lotnisku pod Smoleńskiem czy pod Moskwą. Z Brześcia do Moskwy jest tylko 997 km. Pytanie jednak zasadnicze, czym na ten ruch rządu PiS, odpowie Moskwa, bo że odpowie, to oczywiste. Niestety polska opinia publiczna, w przeciwieństwie do społeczeństw Europy Zachodniej, wydaje się całkowicie tym niezainteresowana. Wszystko nam jedno, czy będziemy żyli w strefie bezatomowej, jak sobie wywalczyliśmy, czy znów sprowadzimy na swoje terytorium broń masowej zagłady należącą do obcego supermocarstwa. Otóż, to jednak nie jest to samo.

Autorstwo: Krzysztof Kamil Podgórski

Źródła: „Dziennik Trybuna”, Trybuna.eu